

Weronika Żuławska, lat 16

Kochana, przyjdź

Zachodzi słońce, barwi ściany na czerwono. Światło przetacza się po głowie Mężczyzny leniwie, zupełnie bez pośpiechu. Chwilę zakreśla niepozorny łuk na twarzy i kryje się w szczeliny między ścianami. Mężczyzna kładzie obie dłonie na głowie Kobiety, głowa drży jak pączki maków na chwilę przed nawałnicą. Wie już, co stanie się, kiedy drzwi się otworzą. Przyjdzie burza, a ona zostanie sama.

- Kochana, kochana, wróć bardzo szybko – mówi Mężczyzna, ale sam wie, że to nieprawda.

- Zostań, zostań przy mnie – szepcze Kobieta, bo czuję najgorsze – przecież włożyłam ci obrączkę na palec cztery miesiące temu, nie pamiętasz już? Przysięgę złożyłam, mówiłam że nie opuszczę do końca, a ty...

- A ja poczekam na ciebie, kochana. Poczekam i zawołam, kiedy nadejdzie czas – przerywa Mężczyzna. – Obiecuj mi, że nie spróbujesz przychodzić sama do mnie. Obiecuj! Ja cię zawołam, a ty mimo zła i głosów, bo wiem, że przecież będą cię nachodzić, nie przychodź sama! Wiem, co kryjesz przede mną w szczelinie między jedną a drugą szafą. Nie wolno ci sięgać po to, nie wolno! Pamiętaj: ja poczekam, nigdzie nie pójde bez ciebie. Spójrz na mnie, ale nie tymi oczami, które teraz masz jak dwa chmurne nieba! Patrz na mnie tak, jak zawsze. Nie taką chcę cię zapamiętać. Spójrz i obiecuj! Nie przyjdiesz sama.

- Nie przyjdę sama... poczekam – mówi Kobieta i wzdycha do niego. – Kochany, ile to potrwa?

- Tyle co sen, nie będzie długi, ale poczujesz, że śnisz. Przyjdą do ciebie różne obrazy, pewnie niedobre, będziesz się bała. Ale to już się skończy, zanim zeschnie ostatni owoc głogu, który rośnie na rozstajach. Czyli widzisz – bardzo szybko. A ja wróć tam, gdzie nam najbezpieczniej. Pora już na mnie, kochana! Czas płynie za szybko, słońce już zniknęło. Idzie noc, a ty czekaj! Czekaj na świt!

Mężczyzna otwiera drzwi i wychodzi. Jeszcze długo niesie się dźwięk wysokich czarnych butów. W oddali widać jeszcze czerwono - czarne poświaty, płomienie, ale wszędzie panuje cisza. Bardzo bolesna cisza, idzie razem z nocą i przyniesie Kobiecie zły sen, najdłuższy sen – czekanie.

Mijają dni, Kobieta wrywa kartki z kalendarza, zaczyna uciekać nadzieją w siną przestrzeń gdzieś za horyzontem. Na każdej kartce pisze słowo „powrót”. Codziennie wyciąga dwa te same talerze i nalewa czarną herbatę do dwóch filiżanek. Co dzień kładzie na fotelu książkę, którą zaczął czytać, zanim poszedł. Kobieta czuje, że musi to robić. „Przecież jestem żoną, muszę być gotowa” – myśli i co rano stawia na oknie wazon z makami – jego ulubionymi. Ten ze ślubnego bukietu zasuszyła między stronami książki.

Kartki rzucone w zapomniany kąt, rosną. Najpierw wrywała je delikatnie, z czułością, jakby odliczała już na palcach dni powrotu. Potem – już tylko darła, po dwie, cztery naraz.

Po roku i jedenastu miesiącach Kobieta wyrzuca do jeziora cały kalendarz. Pozwala, żeby woda zabrała czas. „Nie potrzebuję już czasu” – myśli.

Robi się ciemno, a drzwi domu nadal są otwarte. Kobieta nie zamknęła ich, odkąd wyszedł. Gdyby to zrobiła, nie wróciłby przecież, nie znalazłby domu całego porośniętego bluszczem i ukrytego przed światem między wierzbami. Nie widać już światła, słońce przestało dochodzić. Już od dwóch lat przez te drzwi wdzierają się mgła, wiatr, i deszcz, może tylko latem jeden, czy dwa promienie, bardzo wyblakłe, usiłują dostać się do środka. Jest zupełnie cicho.

Kobieta opiera rękę na framudze i patrzy, ale już od dawna przestała niecierpliwie wyglądać. Nie wie nawet, czy już *to* się nie skończyło – zupełnie przestało ją obchodzić. Czarna sukienka wrasta jej w skórę, miesza się z włosami i wdziera się do gardła, zabierając mowę. Kobieta stoi i patrzy między drzewa, bardzo chciałaby dojrzeć niebo, ale nie widzi niczego. Nie wie, czy to już czas. Myśli tylko, jak bardzo skrzywdzi Mężczyznę, kiedy złamie obietnicę. Pociesza ją własna słabość. Mężczyzna nie pomyślał, że ona tego nie uniesie, nie da rady bez niego.

Więc to już, myśli Kobieta, i sięga po ozdobne pudełko, ukryte między jedną a drugą szafą. Małe, drewniane, wyściełane spłóciętym skrawkiem aksamitu, kiedyś były w nim dwie obrączki. Teraz jedna jest na palcu, a druga – gdzieś w ziemi, albo ponad nią. Zamiast obrączek znajduje się w nim się małeńki flakonik z zielono barwionego szkła. Kołysze się w nim srebrzysto-czarna ciecz, wyglądająca jak rtęć. Faluje raz w tę, raz w tam, jak wieczorne morze... „W morzu nie widać dna, a kamienie rzucone opadają w słodką, ciepłą otchłani. Po prostu leci się i nie myśli... nie istnieje... Z otchłani już blisko do Światła, do Boga – do niego...” – Kobieta wie o tym, aż za dobrze.

Kobieta otwiera szafę i wyciąga welon, ślubną pamiątkę. Długi, aż do ziemi, okrywa ciepłym całunem całą sylwetkę Kobiety. Pachnie jeszcze dymem z kadzideł i ciepłym czerwcowym dniem.

A teraz październik, miesiąc różańcowy, Kobieta przesuwając palcami po koralach różańca, modli się, płacze. Jedno oczko, drugie, trzecie... Półgłosem wzywa wszystkich świętych. Potem odmawia jedną litanię po drugiej. Mieszają jej się słowa, myli modlitwy. *Kyrie eleison*. Już nie mówi szeptem, zbyt się boi, głowa boli od ciszy, chce umrzeć z tęsknoty, z miłości... Nie z powodu cicho szumiącego we flakoniku morza.

- Boże drogi – woła Kobieta. - Nie każ mi tego robić, przecież obiecałam, obiecałam, obiecałam...! Nie każ mi umierać samej...

Między jedną a drugą ścianą niesie się wyblakłe widmo dawnych, bezpiecznych dni. I nareszcie słowa: „*Kochana, przyjdź.*” To już... spełniłeś swoją obietnicę, najdroższy. Czekaleś... I ja przecież nie zdradziłam! A chciałam umierać sama, ja, niewdzięcznica!

Kobieta nareszcie się uśmiecha, zamyka zmęczone oczy. Od dwóch lat nie opuszczała domu – teraz wychodzi i biegnie między wierzbami, nie wie nawet, skąd ich tyle narosło. Idzie daleko, welon przesuwają się między liśćmi, unosi wiatr. Wreszcie płacze z radości – nareszcie *to* minęło. Czas zaczyna istnieć na nowo. Otwiera się niebo, rozlewa się światło, aż po widnokrąg.

Kobieta otwiera oczy, jest już daleko od domu - kryjówki. Stoi na drodze, szerokiej i pustej. Zdaje się nieustannie poruszać. Żyje. Jest sama, a naokoło kwitną czerwone kwiaty. To maki. Idzie przez chwilę tą białą od jasności drogą, przeciera oczy ze zdumienia. W tak pięknym miejscu nigdy nie była.

- Kochana, jesteś... - czuje przy sobie szept Mężczyzny i ma wrażenie, że te wszystkie wyliczane dni, miesiące układane w rogu pokoju, to był jeden dzień, jedna bardzo długa noc..., jeden sen. Teraz dopiero przyszło jutro.

- Czekaleś, tak jak obiecałeś. Nigdy nie zawiodłeś, a ja chciałam iść sama – mówi. – Nie wybaczę sobie tego ...

- Przecież wiedziałem, że pójdziemy razem – odpowiada – nie umiałbym iść sam, a ty, też zbytnio byś się bała. No, na nas już czas. Chodź.

Kobieta chowa się pod szerokim, miękkim płaszczem męża. Jest w nim bezpieczna jak ptak w gnieździe, o nic już się nie lęka. Strach odchodzi.

Drogą idą teraz dwie, ciasno wtulone w siebie, dusze. Wiedzą, że tam, gdzie podążają, będzie spokojnie i dobrze. Nie odnajdzie ich już zło. Srebrzysto-czarny płyn z buteleczki rozlał się i pochłonęła go czarna sukienka. Dla Małżeństwa nie istnieją już słowa: burza, łzy, wojna. Wszystkie złe myśli spadają w dół – na ziemię i nikną w głębokim morzu. Małżeństwo ufnie idzie w kierunku źródła światła.

Wstaje świt.